

Suka

Pies warczy. Kły lśnią od śliny, a kłapięcie szczęk posyła strumień powietrza w stronę moich ud. Stoję z trzystoma gramami haszu przyklejonymi taśmą do skóry mojego brzucha, od piersi aż do włosów łonowych. Odór sprawia, że owczarek niemiecki wariuje, jego pysk ledwie na szerokość ręki od mojego krocza. Zwierzę staje na tylnych łapach, smycz napina się w powietrzu w stronę dłoni bagieciarza, obroża wrzyna się w futro. Ciepły oddech z gardła psa roznosi się falami w mroźnym wieczornym powietrzu.

Moje plecy trą o mur, buty skrzypią na brudnym śniegu chodnika kilka metrów od głównego wejścia do Christianii, gdzie dwadzieścioro policjantów wpadło z psami nagle i jakby z dupy. Próbuję przecisnąć się wzdłuż muru po tylnej stronie Loppen; papier z plakatów promujących koncerty trzeszczy sucho pod moimi plecami. Nie ma drogi wyjścia; na lewo ode mnie stoi dwójka afganiarzy i tępo gapi się na psa, który trzyma nas troje w szachu.

– Zluzuj, ziomeczku. – Władczo, po kopenhasku mówi jeden z nich.

– Stój bez ruchu – warczą usta zza przyłbicy w moją stronę. Mogę dostrzec jego obnażone siekacze, złowrogie oczy.

– Nic nie zrobiłam. – Zaczynam łkać.

Owczarek wciąż ciągnie za smycz. Na chodniku obezwładnili jakiegoś faceta, inny pies zaciska szczękę na jego kostce. Około piętnaścioro oficerów stoi niedaleko od nas, gadają ze sobą niespokojnie, a ich krótkofalówki trzeszczą.

– Byłaś se pohandlować, co, narkusiarska kurewko? – pyta bagieciarz; ten akcent to musi być akcent z Århus. – Dasz grudę czy sam mam ją znaleźć? – Typ śmieje się podstępnie. Adrenalina buzuje w jego ciele.

Grzebię w kieszeni, rzucam na chodnik przed sobą czterogramową grudę.

– Mogę już iść? – pytam stanowczo.

– Nie.

Pies zupełnie nie interesuje się grudą.

– Nielsen! – wykrzykuje ten z psem na smyczy w stronę lodowy policyjnej, która podjechała...

A Asger obiecywał, że w Christianii nie kręcą się żadne pały; powiedział, że to sprawdził.

Nielsen, która z lodowy idzie w naszą stronę, jest kobietą. Może chodzi o to, że mają żeńskie bagiety do przesłuchiwania żeńskich podejrzanych. I teraz jej dłonie podróżują w górę i w dół mojego ciała, a te trzysta gramów, co je mam, to za dużo, żeby ich nie zauważyła. Jednocześnie czuję się ultragównianie, bo właśnie mam „trudne dni”. Trzęsę się. Tuż pod skórą czuję mróz.

Ten od psa robi krok naprzód, owczarek się podnosi; jego łapy lądują twardo na moich ramionach, jego szczęki kłapią przy mojej szyi. Ktoś drze japę. To ja. Gość odciąga psa – jego oczy szaleńczo mienia się od pocucia wyższości. Podchodzi Nielsen. Histerycznie drąc japę, zdzieram dzinsy. Widzę jej zdumione oczy, kiedy wciskam dłoń w majtki. Mam to; wyciągam zakrwawioną podpaskę i rzucam nią w głowę psa, który łapie ją w powietrzu i zaczyna ją mleć.

Wtedy Nielsen pada na kolana, dwa kroki ode mnie, duży kamień brukowy uderza o asfalt, ona sama przewraca się i przyciska nogę do tułowia. Butelka rozbija się o mur nad moją głową. W deszczu odłamków ze szkła widzę, jak bagieciarz kopie psa, któremu po obu stronach szczęki wystaje moja podpaska, i myślę sobie, że to nie jest pies od wyszukiwania haszu, tylko zwykły owczarek. Wtedy też patrzę na lewo, w stronę wejścia do Christianii, gdzie pojawiają

się młodzi ludzie, którzy zaczynają rzucać kamieniami i butelkami, podczas gdy dziesięcioro bojowo ubranych oficerów biegnie w ich stronę z tarczami, pistoletami na gaz łzawiący i uniesionymi pałkami. Nielsen kuśtyka z powrotem w stronę lodowy.

– Gównu zrobiłam! – krzyczę i zaciskam ramiona wokół siebie. Słyszę wytłumiony huk pistoletów na gaz i kątem oka dostrzegam, jak gaz rozprzestrzenia się w stronę wejścia do Christianii. Owczarek ciągnie smycz, żeby móc wziąć udział w walce.

– Stój tu – burczy bagieciarz, wyciąga pałkę i podąża za psem.

Biegnę wzdłuż Prinsessegade – moje nogi drżą. Skręcam w lewo w Bådsmadsstræde, gdzie na poły biegnę i sapię, przyciskam do siebie kostki haszu; ich brzegi wżerają się w moje piersi, a taśma nieprzyjemnie ciągnie moją skórę.

Muszę się zatrzymać, bo moje spodnie – wciąż rozpięte – zaczynają się zsuwać. Glut kapie mi z nosa, kiedy patrzę w dół. Syreny, pisk opon, nadjeżdża biały minibus z grupą bojowo ubranych policjantów. Stoję i grzebię w zamku od spodni, palce zmrożone do kości. Prują obok – wydaje mi się, że widzę, jak oficer za przyłbicą układa ustami słowo „suka”. Twoja matka, ty sam, wszyscy twoi kuzyni, myślę sobie.

Znajduję papierosa, gdy tak chyboczę się naprzód. Odpalam gorączkowo, zaciągam się mocno – potrzebuję dżointa. Glut cieknie mi z nosa i zawilgaca papierosa. Rzucam go w pizdu. Taksówka do dworca głównego. Do toalety. Ścisnęłam kostki haszu tak mocno, że dwie z nich pękły. Jest trochę krwi w majtkach, ale mam ekstra podpaskę w wewnętrznej kieszeni. Myślę o tym, jak byłam z rodzicami w Maroko. Wszyscy dostaliśmy ostro rwącego tyfusu mysiego i każdy z nas miał na sobie podpaskę mojej matki; żadne nie było w stanie kontrolować funkcji jelitowych. Ciekło z naszych wnętrz. Zaczynam chichotać; brzmi to piskliwie. W końcu wtaczam się na pokład pociągu do Aalborga, tak wycieńczona, że natychmiast zapadam w sen.

Bohaterka

– Jesteś moją małą bohaterką – mówi Asger, kiedy przyciska mnie do siebie, całuje w czoło, we włosy, w mokre oczy, bo znów zaczęłam zawodzić, a to dlatego, że mi ulżyło, i biję go w klatkę piersiową, bo... No, biję go po prostu.

Jego dwa rottweilery, Plastus i Triperka, stoją nam przy nogach, na stówę nigdy w życiu nie widziały, jak ktoś wyje, i schizują mnie zupełnie.

– Już, już – uspokaja mnie Asger, a ja mam ochotę odburknąć, że jak mógł mieć czelność wysłać mnie tam, gdzie była policja, ale przecież nie mógł tego wiedzieć, więc łkam i odstawiam teatrzyk, bo to w rzeczywistości ja powiedziałam, że tam chcę – zarówno dlatego, że znam dilerę w hurcie w Christianii, jak i dlatego, że chciałam przysłużyć się naszej społeczności. To znaczy, nie jestem byle ozdobą, mimo wszystko to Asger wynajmuje dom, gdzie mieszkamy, i pozwolił mi się wprowadzić, przez co nie muszę na czworakach wracać do domu do mamusi. On też załatwia większość hajsu.

Mój wdech zatrzymuje się w górnej części gardła.

– Nie mógłbyś zamknąć psów na wybiegu? Ja po prostu nie dam rady... – mówię.

– Jasna sprawa, skarbie.

Siadam w dużym pokoju i kręcę džointa. Jest godzina trzecia w nocy, a ja mam ochotę nałożyć na siebie szklany klosz – odciąć wszystko na zewnątrz. Mogłam wylądować w pace. O czym ja w ogóle myślę?

Odpalam džointa, jest cudownie.

W środku staję się powolnym mechanizmem. Uczucia odpływają. W siną dal. Robi się chłodno, mój oddech jest tak mroźny, że tył moich zębów aż boli, skrzypi – prawie wybucha.

Nigdy nie zrobiłam niczego, jak należy.

Nigdy.

Niczego.

Czuję się fatalnie. Nigdy tak nie miałam. Bywało, że była ujebana do cna, przyjemnie ujebana – ale nigdy przestraszona. Siedzę przy stole jadalnym. Skręt wzmacnia odczuwanie rzeczy – wiem to dobrze, ale teraz czuję się przejebanie źle. Dostaję haszpsychozy? Nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek czuł się tak okropnie po skręcie; kiedy rzeczy się jebią, to zazwyczaj po grzybach czy LSD.

– Nie czuję się zbyt dobrze – mówię Asgerowi.

– Musisz po prostu położyć się na chwilę – odpowiada.

Ta. Chwiejnym krokiem wtaczam się na łóżko. Zostawiam zapalone światło i uchylone drzwi, żebym mogła słyszeć Asgera z pokoju. Czuję wilgoć w kroczu. Widzę krew na majtkach. Całkiem przesiąknięte. Zupełny brak sił, żeby wyjść z łóżka. Podciągam tyłek, zdejmuję majtki. Staję się ciemnością. Wpadam w pustkę. Nieskończoną. Jakiś głos dzwoni mi w przestrzeni kończyn: *Musisz szukać odpowiedzi tam, gdzie one się znajdują. Na samym dnie bezdennej dziury*. Słyszałam to już, nie pamiętam gdzie. Lecę, spadam w dół – powietrze świszczy.

Szturchnięcie. Szturchnięcie w moim ciele, a ja spokojnie wiszę, siedem centymetrów nad materacem – znów widzę. Patrzę na zegarek. Osiem minut po czwartej. Nie przestaję patrzeć. Sekundnik się nie porusza, ale słyszę jego dźwięk: cyk... cyk... cyk. Nie mam pojęcia, ile takie coś może trwać; czy to pięć minut, czy dwanaście godzin albo... wieczność? Wszystko ponad nasadą nosa jest jak zielone bagno. Kiedy przeczesuję przestrzeń wzdłuż czaszki, jest tam wyłącznie bagno. Próbuję utrzymywać, że ja to ja, ale nie wiem, co to miałoby znaczyć; wiem tylko, że nigdy nie zrobiłam niczego, jak należy.

Czas stoi w miejscu – i hałasuje. Wysyłam ekspedycję hen w głąb bagna – na badania. Małe kawałki siebie, które znajduję... Walczę z nimi, żeby przywrócić siebie, ciągnę je do domu poprzez grzańskie blocko i zatapiam je pod bagnem – chowam tuż za uwulą i cały czas się boję, że je łyknę, że połknę. Wdzierają się dudniące dźwięki. Obracam głowę i widzę Asgera koło siebie. Chrapiącego. Wyślizguję się z łóżka. Zegarek mówi: 08.12. Asger nie może wiedzieć, jak się czuję. To takie żenujące. Słabe.

Chciałabym, żeby była tutaj moja mama. Tęsknię za nią. Ale nie gadamy ze sobą. Ona nawet nie wie, gdzie mieszkam.

Nerwica frontowa

– Mamy umowę. Pokażesz mi tych ludzi. Będzie zapoznanie. – Głos wybrzmiewa z pokoju, wygłuszony zamkniętymi drzwiami od sypialni. Jakiś ciapacki akcent. Turek? Co tam się dzieje? W moim wnętrzu jest dziura. Kołdra jest ciężka i mokrawa. Nie mam majtek na sobie, tylko podkoszulek.

– No tak, ale... – zaczyna Asger. Ktoś mu przerywa.

– I ja też będę mógł ci pomóc... Zawsze. Będziemy przyjaciółmi. Ale ty nie chcesz mi pomóc. Zapłacisz więc sowicie. I to teraz.

Zmuszam się, żeby zrzucić kołdrę na bok. Wszystko w mojej głowie jest jakby niepołączone, jak gdyby ktoś usunął główny wtyk i wszystkie komponenty stały luzem, beczynnienie.

– Okej, okej. Zobaczę, człowieku, co mogę zrobić. Ale to nie będzie darmo. – Asger brzmi niepewnie.

Prawie upadam, kiedy wychodzę z łóżka, podłoga wdziera się chłodem przez podeszwę. Chwiejąc się, podążam w stronę szafy.

– A czy ja powiedziałem, że to będzie darmo? Już za to płacę. Teraz. Cały czas. Ciebie to nic nie kosztuje. – Głos niesie ze sobą groźbę.

Wciągam majtki, otwieram drzwi na korytarz, podchodzę i schylam się w stronę framugi drzwi do dużego pokoju.

Na środku stoi tam wysoki, ciemny mężczyzna z olbrzymim czarnym sumiskiem nad górną wargą; przez niego wygląda jak Saddam Husajn. W pomieszczeniu wisi świeży zapach płynu po goleniu, ale facet ma już ciemne połacie zarostu na dolnej szczęce. Asger siedzi skulony przy stole jadalnym, na jego twarzy zrezygnowanie i nerwowość.

– Kim on jest? – pytam i wtedy Asger mnie zauważa. Podnosi się lekko zza stołu.

– Maria – odzywa się z wahaniem – mogłabyś stąd wyjść? Zaraz do ciebie przyjdę.

Czuję, że mężczyzna patrzy na mnie.

– Ale czego on tutaj chce? – dopytuję ze spojrzeniem utkwionym w Asgera; stoję i trę stopami jedna o drugą. Po chwili przestaję, nie chcę wydawać się podenerwowana.

– To tylko... biznesy – odpowiada Asger. – Zaraz kończę.

Obracam się w stronę ciemnego mężczyzny.

– Dlaczego nam grozisz?

Robi dwa kroki w moją stronę, wyciąga dłoń naprzód w taki sposób, żeby nie zbliżyć się do mnie za bardzo.

– *Assalamalaikum* – wita się. – Jestem Hossein.

Trzymam ręce tam, gdzie są, ściskając framugę drzwi. Hossein. Raz przyjeżdżał gościowi, nazywał się Bertrand, zupełnie bez powodu – złamał mu nos; tyle słyszałam na mieście. I że był żołnierzem w specjalnych oddziałach armii irackiej... albo irańskiej – nigdy nie pamiętam, kto jest kim.

– Co ci zrobiliśmy?

– Maria, proszę... – zwraca się do mnie Asger.

– W czym jest problem? – pyta facet o imieniu Hossein i rzuca szybkie spojrzenie w stronę Asgera.

– Grozisz nam – odpowiadam.

– Hossein nigdy nie grozi – mówi z urażonym wyrazem twarzy. – Hossein robi to, co trzeba zrobić.

Moje nogi są jak zmrożone. Najchętniej poszłabym do sypialni, ale zwyczajnie nie mogę pozwolić, żeby gość w ten sposób panoszył się w moim domu.

Asger wstaje i idzie w moją stronę.

Szloch przeciska mi się przez gardło, jestem na to zupełnie nieprzygotowana.

– Czuję się bardzo źle – oznajmiam, bo myślę, że Asger mógłby... mógłby być razem ze mną zamiast siedzieć i gadać tu z tym typem.

– Twoja kobieta jest chora? – pyta Hossein.

– Kochanie, muszę tylko pogadać z Hosseinem, potem przyjdę do ciebie.

Glut zaczyna mi cieknąć z nosa jak z kranu.

– Ale to wszystko jest... zimne – mówię. Płacz gęsto rozprzeszczenia mi się w gardle.

– Ta kobieta ma nerwicę frontową – stwierdza Hossein, który wygląda na zmartwionego.

Asger kładzie dłoń na moim biodrze, po czym obraca mnie i popycha delikatnie w stronę drzwi do sypialni.

– Zadzwoń do Ulli – szepcze. – Mam tak zrobić?

– Ale ja jej prawie nie znam.

– Chodź. – Bierze mnie i kładzie delikatnie na łóżku, podnosi moje nogi i owija mnie kołdrą.

– Nie mógłbyś zostać na chwilę? – pytam.

– Ważna ta sprawa z Hosseinem. Zadzwoń po Ullę.

– Ale czego on chce? – Nie daję za wygraną.

W jakiś sposób niezwiązany ze mną samą myślę o tym, że mój żałosny ton nie sprawia nawet, że jestem tym jakoś niezręcznie dotknięta, i to jest dziwne.

– Wiszę mu przysługę – odpowiada Asger i podnosi się z brzegu łóżka.

– Ale dlaczego?

– Bo mi w czymś pomógł.

– W czym?

– Nie powinnaś teraz zadawać tylu pytań – mówi Asger lekko wkurwiony i wychodzi. – Dzwonię do Ulli. – Zamyka drzwi na korytarz. Zamyka też te do dużego pokoju, dlatego słyszę ich głosy jak odległy bełkot.

Dlaczego nie może mi po prostu tego powiedzieć? Jesteśmy razem. Dopiero co ryzykowałam moją... moją wolność, żeby przesznułować hasz, który może opchnąć, a on nawet nie... Nie powie mi nawet, co się tu odpierdala. A Ulla... Jej prawie w ogóle nie znam; spotkałam ją dlatego, że jest dziewczyną dobrego kumpla

Asgera, Nielsa-Rzeźnika. Ma kilka lat więcej niż ja – może dwadzieścia trzy. Koleżanki, które miałam w liceum, ich już nie znam – wszystkie one myślą, że stałam się narkomanką.

Pocieszycielka

Słyszę, że Hossein sobie poszedł, ale jednocześnie przyszli klienci. Przez dłuższą chwilę po prostu leżę na boku i przyciskam kolana do klatki piersiowej. W końcu Asger uchyla drzwi i wciska głowę.

– Ulla tu jest – oznajmia spokojnie, wtedy drzwi zostają całkowicie otwarte przez Ullę, która kładzie dłoń na ramieniu Asgera i go wypycha, podczas gdy sama wchodzi do sypialni.

– No, możesz się zmywać. – Zamyka drzwi przed facjatą Asgera. Potem obraca się, schyla głowę, ogląda mnie badawczo, po czym zrzuca oba kozaki i strząsa kurtkę z ramion tak, że ta spada za nią na podłogę. Bez słowa kładzie się do łóżka pod kołdrą i chwytam mnie.

– Już, już – szepcze i przeciągle patrzy mi w oczy.

Zaczynam znów płakać, niemalże od razu. Opowiadam jej wszystko o zielonym bagnie i o tym, że nigdy nie zrobiłam niczego, jak należy. Nie mogę przestać.

– Czasem się tak zdarza po plastelinie, jeśli nie ma się szczęścia. To przejdzie, spokojnie.

Telefon dzwoni w dużym pokoju. Słyszę, jak Asger mówi:

– Nie, kuźwa, przyniosła cedeki ze sobą na chatę. – Potem cisza, zanim kontynuuje: – Tak, słyszałem, że wielu potraciło swoje.

Cedek to hasło na hasz, kiedy rozmawia się przez telefon. Albo jest tak, że ludzie dzwonią i pytają: „Co, będzie git, jeśli zajrzę dzisiaj?”, a jeśli nic nie ma, odpowiada się po prostu: „Nie, lepiej zajrzyj jutro”.

– Myśli czasem o czymś innym? – Ulla rzuca sucho w powietrze.

– Teraz jest naprawdę miłutki przez większość czasu – odpowiadam jej. Ale czy to prawda? Nigdy mi nic nie mówi o tym, co się dzieje, jak na przykład to z tym Hosseinem.

Ulla idzie do kuchni i robi herbatę i kanapki, po czym siadamy pod kołdrą z ramionami wokół siebie i oglądamy jakiś rozrywkowy szajs w telewizji, zaplatamy palce i jest naprawdę przyjemnie.

Trochę później przychodzi Asger i staje w drzwiach.

– Hej, co robisz z moją dziewczyną? – pyta jowialnie.

Ulla obraca głowę ku niemu.

– Jej jest smutno, Asger. A ty jej najwyraźniej nie pocieszasz, dlatego też, kurwa, zadzwoniłeś do mnie.

– Jest sobota wieczór – rzuca władczo Asger – co chcesz, żebym zrobił? Klienci walą drzwiami i oknami.

– Może nie powinienes, kurwa, sprzedawać, kiedy Maria się tak czuje, co?

– Budżet wysycha, muszę nałuskać trochę szmalcu.

– Tak, ale to ona, do chuja, zadbała o to, żebyś w ogóle miał co sprzedać – odpowiada Ulla.

– Po prostu... No wiecie, gacie na sobie. – Asger zamyka drzwi.

– Że też ma czelność – mamrocze Ulla.

Ulla jest śliczna.

Mamka

Dopiero we wtorek zaczynam powoli czuć się jak człowiek. Podejmuję decyzję, żeby pójść na spacer na miasto – może kupić jakiś nowy ciuch. Brudne połacie śniegu wciąż leżą przy krawężnikach, słońce prześwituje przez chmury, które wiszą rozpostarte na niebie jak powyciągana biała satyna.

Wszystko to się dzieje, kiedy przechadzam się chodnikiem w stronę Salling.

– Cześć, Mario. – Moja matka wchodzi w zasięg mojego wzroku z o wiele za dużym uśmiechem na twarzy, ceramiczne ozdoby w pastelowych kolorach dyndają z jej uszu i szyi.

– Cześć, mamó – witam się z wahaniem.

Obejmuje mnie tak, że czuję, jak jej rozbuchane matczyne ziemskie ciało wciska się w moje.

– Tak bardzo się cieszę, że wyprowadziłaś się od Gorma.

– Eee, a skąd ty to wiesz? – pytam zdezorientowana.

Gorm to mój były, też diler. Ale nie sądziłam, że ona to wie. I nie może wiedzieć, że mieszkam u Asgera, bo najpierw wprowadziłam się do kamienicy w podwórzu w dzielnicy Vestbyen i od tamtej pory nie przeniosłam mojego kodu pocztowego.

– Bo byłam u niego z twoimi rzeczami, które znalazłam – wyjaśnia. Kiepska wymówka. – I jedna z moich koleżanek powiedziała, że widziała cię, jak podajesz do stolika w Café Rendezvous. Wspaniale, że dostałaś pracę – mówi zbyt nachalnie.

– Już tam nie pracuję – odpieram.

Kładzie dłoń na mojej ręce.

– A co się stało?

– Mam problemy z karkiem – odpowiadam wymijająco. – Jestem na zwolnieniu. – Czuję, że rośnie mi gula w gardle. Chciałabym, żeby już zabrała tę dłoń.

– Na zupełnie zdrową nie wyglądasz, co?

Nie odzywała się do mnie przez trzy kwartały i uważam to za lekkie przegięcie, że po prostu próbuje to zbyć uśmiechem i gadaniną. To też jeden z powodów, dla którego nie rozmawiałyśmy ze sobą. Zresztą nie mam właściwie ochoty o tym gadać – nie dziś, kiedy czuję się tak, jak się czuję. Patrzy na mnie badawczo.

– E tam, jestem tylko trochę przemęczona.

– Jesteś pewna, że jesz wystarczająco? – pyta i patrzy na mnie z góry na dół.

Wkładam rękę do kieszeni, chwytam paczkę fajek i wyciągam ją, także po to, żeby zabrała dłoń z mojej ręki. Marszczy nos na widok papierosów, ale zatrzymuje to dla siebie. Cieszę się, że nie jem tyle, co ona.

– Tak – mówię. – Jem wystarczająco dużo.

- Nie chcesz gdzieś usiąść i napić się kawy albo herbaty?
- Mam spotkanie za chwilę – odpowiadam.
- To może szybka filiżanka kakao? – proponuje i z uśmiechem wskazuje na Underground.
- No dobra. – Wplątuję się w to obiema nogami. Wchodzimy do środka, moja matka zamawia.
- Ale to jakieś porządne miejsce tam, gdzie mieszkasz? – pyta, siadając naprzeciwko mnie.
- Jest trochę zimno – rzucam.

Kamienica w podwórzu, w której mieszkałam, zanim przeprowadziłam się do Asgera, była rzeczywiście lodowato zimna, a ja nie mam ochoty opowiadać matce o tym, że mieszkam razem z Asgerem, to jej nie dotyczy.

Rzuca badawcze spojrzenie na chodnik.

– Ale może być, że się wprowadzisz znów do domu. – Krąży niepewnie wzrokiem, zanim stawia warunek: – To znaczy jeśli potrzebujesz trochę czasu, żeby poprawić swój egzamin na studia, możesz przecież mieszkać u nas, będzie ci trochę łatwiej. – Kiedy mówi „nas”, ma na myśli siebie i Hansa-Jørgena, który według mnie jest zupełnie bezużyteczny.

– Jeśli chcę czasu, żeby poprawić mój egzamin na studia? – Czuję wilgoć na czole, zimny pot na ciele. Nie daję rady udźwignąć tej presji, żeby z nią gadać.

– Chciałabym ci po prostu pomóc, Maria – oznajmia ze zmarzniętą miną.

– Więc skumaj, że nie mam ochoty marnować więcej czasu na ten główniany egzamin – rzucam i od razu wiem, co na to odpowie.

– Dobra, to czego chcesz?

– Nie wiem – odpieram ponuro, próbując jednocześnie utrzymać ton głosu na normalnym poziomie.

– Ale Maria... Co jest nie tak? Próbowałam zrobić wszystko, żebyś mogła... – Moja matka pozwala swojemu męczeńskiemu komentarzowi wybrzmieć, podczas gdy ona sama wygląda na chodnik.

Pytam ją, za czym tak patrzy.

– Wiesz, mieliśmy się tutaj spotkać z Hansem-Jørgenem. – Posyła mi nerwowy uśmiezek. – No ale miałam szczęście, że spotkałam ciebie.

Jednocześnie podchodzi kelnerka i stawia przed nami herbatę, kakao i tartę jeżynową. Hans-Jørgen. Wzdycham głęboko, patrzę na blat, nagle czuję się zmęczona bardziej niż kiedykolwiek. Jego widoku dzisiaj po prostu nie zdzierzę.

Moja matka podnosi dłoń do mojego policzka. Wiem, że to błąd, ale pozwalam jej to zrobić.

– Wyglądasz na bardzo... chorą, kochanie.

Wszystkie te żalosne manewry wobec mnie, jakbym była jakimś głupim dzieciuchem, które trzeba popchnąć, zwabić, przycisnąć, zmanipulować tak, żeby robiło, jak ona chce. To jest, kurwa, prze-jebana zniewaga.

– Poczułam się z lekka kiepsko po tym, jak wcześniej przyjechałam baciora – mówię i patrzę jej w oczy.

– Ba... co? – Zdążyła powiedzieć, zanim zobaczyłam, że kuma, o co chodzi.

– Baciora, mamó. To jak hasz, plastelina, czekolada, jaranko, dżoincik, afgan. Nie zapala się lampka? – pytam.

Jest starą hippiską, więc to dla niej nic obcego. To dopiero cztery lata, od kiedy żyje na winie i wołowinie.

Przerywa kontakt wzrokowy, gapi się pusto w powietrze. Bryłkowata chrząstka pulsuje jej na policzku.

– Chcesz być jak twój ojciec? – zwraca się do mnie stłumionym głosem.

– Tak, jeśli to znaczy, że nie muszę być taka samozadowolona i hipokrytyczna jak ty.

Skóra na jej twarzy się napina. Odsuwam krzesło do tyłu, wstaję, obracam się, idę w kierunku drzwi, czuję przy tym, jak inni goście gapią się na mnie.

– Maria...? – Moja matka woła za mną, ale ja jestem już na zewnątrz, idę wzdłuż ulicy i nie oglądam się za siebie. Widzę jeszcze,

jak ten głupi pajac Hans-Jørgen zbliża się z oddali, zanim zdołam skręcić w Nygade, gdzie mogę podwinąć rękawy kurtki i wytrzeć czoło i kąciaki oczu, bo coś mi się tam zagnieździło.

Właściwie to byłam w drodze do Matasa, Ulla powiedziała, że tam pracuje, ale teraz straciłam ochotę, żeby tam iść. Zamiast tego kieruję się do biblioteki głównej i czytam komiksy, ale nie mogę się skoncentrować, więc udaję się do domu i kładę się do łóżka. Asger nic nie mówi.

Holizm komercyjny

– Harmonizują balans u ludzi. – Z pełną powagą powiedziała moja matka, kiedy wyjaśniała mi filozofię stojącą za ceramiczną biżuterią, wytwarzaną w takim czy innym niezgłębionym systemie kolorów przez nią samą. Sprzedaje ją radosnym jak delfiny mieszczańskim paniom, które jako czterdziestotrzylatki przechodzą siedemnastą transformację osobowości.

Z tym mogłam się pogodzić, tak jak mogłam się pogodzić, że przeprowadziliśmy się do Hansa-Jørgena. Ale w pewnym momencie nadeszło to – zaczęła mnie pouczać:

– Maria, nie życzę sobie, żebyś... żebyś mówiła o twoim ojcu, kiedy jest z nami Hans-Jørgen.

– Ty nie będziesz o tym, kurwa, decydować, ty pseudoholistyczna krowo – powiedziałam i przeniosłam się do Gorma.

To prawda, że mój stary jest kompletnie wyniszczony, ale wciąż jest moim starym.

Moi hippisowscy rodzice żyli razem, dopóki nie skończyłam dwunastu lat, w małym zwyczajnym domku przy Halkær Bredning. Mój ojciec pracował jako roadie dla wszystkich możliwych średnio dużych orkiestr na całą Europę, to znaczy pracował tylko wtedy, kiedy układ ciał niebieskich był sprzyjający.

– Ale my naprawdę potrzebujemy pieniędzy. – W ogródku warzywnym pomiędzy grządkami buraków i grochu cukrowego

o godzinie drugiej w nocy powiedziała do niego moja mama. Ojciec na kolanach wyrwał chwasty.

– Nie mogę teraz wyjechać. Księżyc jest w doskonałej pozycji – odrzekł; ogródek był konsekwentnie pielony w zgodzie ze Steinrowskimi teoriami o fazach księżyca.

Mieliśmy też psa, Pana Rakoczego, który odmawiał jedzenia mięsa – był zatwardziałym wegetarianinem. Kiedy dostawał biały ryż zamiast naturalnego brązowego, robił się osowiały.

Hans-Jørgen jest oczywiście głównym scenografem w Aalborg Teater. Pije tylko najdroższe czerwone wina i pasjonuje się jak dziki wykwinłym francuskim jedzeniem. A moja matka jest hipokrytką na pełen etat.

Kmiotodzbany

W czwartek wieczorem wpada Ulla i pyta, czy chcę z nią wyjść i napić się piwa. Jasne, że chcę. Znów zaczęło śnieżyć. Idziemy w stronę fiordu, potem fiordem do miasta. Ulla podchodzi do samochodu i zgarnia z maski świeży śnieg.

– Nie, nie – proszę, kiedy mimo tego rzuca śnieżką, a potem zaczynamy rozpierduchę; stoimy trzy metry od siebie i nawalamy z całych sił. Kiedy schylam się, żeby zebrać śnieg z ulicy, Ulla zachodzi mnie od tyłu, chwytając mnie za korpus i naciera mi twarz. Trochę śniegu wpada mi do oka.

– Aua, aua! – Trzymam się za oko.

– Przepraszam. Pokaż. – Ulla delikatnie zdejmuję mi z oka dłoń. – Już, już – mówi podczas usuwania śniegu z mojej twarzy.

Zaczyna całować mnie po oku. Serce mi wali. Liże je językiem. Co ona uskutecznia? Kładzie dłoń na moim biodrze. Długo patrzy mi w oczy, czubek jej nosa uderza w mój. Czuję się, jakby puls miał mi wyskoczyć ze skroni. Wtedy ona całuje mnie ostrożnie. Rozsuwam wargi i pozwalam jej wejść. Oba języki są ciepłe w moich ustach. To strasznie przyjemne.

Przestaje. Uśmiecham się ostrożnie, ale nie mam odwagi spojrzeć jej w oczy.

– Spokojnie, Maria – śmieje się słodko i daje mi klapsa w tyłek. – To tylko dla zabawy.

– Ta, okej – odpieram niepewnie.

– Po prostu bardzo cię lubię – zapewnia Ulla, bierze mnie za rękę i idziemy dalej – ale mieszkam z Nielsem, chociaż on też jest jebnięty.

Zaczynamy chichotać, jednocześnie myślę o tym, że para lesbijek idzie do Café 1000Fryd. I myślę sobie, że wszystkie inne dziewczyny wcześniej czy później były w lesbijskim klinczu i próbowały swoich sił w... „tarle”, jak nazywa to Asger.

Siadamy w Tempie. Nie paliłam od czasu zielonego bagna, a na samym piwie czuję, że wielka pustka ogarnia moje wnętrze. Po misternych przygotowaniach pytam Ulli, czy wie, z czego właściwie żyje Hossein. Słyszała tylko plotki.

– Niektórzy mówią, że sprzedaje opium wszystkim ciapakom z Jutlandii Północnej.

Następnym przystankiem jest Corner na rogu Jomfru Ane Gade. Po drodze spotykamy Łajzę – bez dwóch zdań najbiedniejszego klienta Asgera. Pytam go, czy chce dołączyć. Wydaje się zrezygnowany.

– Stawiam piwo – proponuje. – Nie, nie o to do końca chodzi... – zaczyna opowiadać. – Gaden, to znaczy ja i Diazepol mieliśmy dostać wpierdol od bandy kmiotów z przedmieść w zeszłym tygodniu.

Thomas-Diazepol jest w pizdę prowokacyjnym młodym ćpunem, który popierdala po mieście ze swoim przenikającym spojrzeniem. Powiedział mi raz, że jego pierwszym ulubionym towarem był diazepam – stąd ksywa. „Ale teraz jestem dużo bardziej wszechstronny”, dodał.

– Ale co się stało? – pyta Ulla, kiedy idziemy do knajpy z Łajzą pomiędzy nami.

– Byliśmy w Rock-Caféen, no i poszliśmy dalej Bispensgade, po czym nagle jesteśmy otoczeni ogromniastymi wieśniakami, którzy

zaczynają nas popychać i nazywać ćpunami i śmieciami, i wszystkim innym gównem. No i Thomas-Diazepol, on... on ich zwyzywał, więc ci zaczęli napierdalać nas na serio.

– No i? Wpadła policja? – Chcę się dowiedzieć, bo zawsze mają jakiś patrol w pobliżu Gaden.

– Nie, nie, do chuja. Kiedy w końcu jest potrzeba, żeby kutasiarze byli, to... Ale wtedy przyszedł Hossein. Znacie Hosseina?

– Tak – odpowiadam.

Ulla pcha drzwi wejściowe do Cornera.

– Czekaście – rzuca – zaraz przyniosę piwo.

– I co się stało? – pytam, idąc za Łajzą do stolika.

– Czekamy na Ullę, co nie? – mówi z pewnym siebie wyrazem twarzy.

– No okej.

Widzę, że Ulla stoi w kolejce przy barze, więc zagaduję do Łajzy, czy to prawda, że Hossein złamał nos temu typowi, co się nazywa Bertrand.

– Ta – odpowiada Łajza niemal z zadowoleniem.

– Całkiem bez powodu?

– Nie... nie, do chuja.

– To co on zrobił? Ten Bertrand?

– No, wkurzał Tilde, kumpelę Diazepola.

– Ale jak?

Tilde jest lekko jebniętą laską, która zawsze łązi w żółtych ciuchach i ma problem z alkoholem, ale nie znam dobrze tej hałastry od Diazepola.

– Tego, kurwa, nie wiem. Bertrand to... łajza – rzuca Łajza ze śmiechem. – Na pewno sobie zasłużył. Masz fajkę?

Daję mu jedną i przychodzi Ulla z piwem.

– No i? – pyta.

Łajza wraca do zdawania relacji:

– Hossein stoi pięć metrów od nich z butelkami piwa, po jednej w każdej dłoni, i woła do nich: „Głupie z was są kmiotodzbany!

Dlaczego nie popróbowujecie się ponapierdalać z mężczyzną?” – opowiada Łajza, perfekcyjnie naśladowując akcent Hosseina.

– No i? – zadajemy pytanie w tym samym czasie, Łajza uśmiecha się do nas, bierze łyk piwa.

– No i rozbija spody od butelek... To jest o płyty chodnikowe, nazywa ich pedziami i innymi takimi. A ci się patrzą na siebie nawzajem. – Rusza głową raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby naradzał się z innymi wieśniakami. – I zaczynają biec w stronę Hosseina w zwartym szyku – kontynuuje i wolno pociąga swojego papierosa.

– No i co się dalej stało? – pytam.

– Uciekł im.

– Ale że jak? – dziwi się Ulla.

– No, oni prawie do niego dobiegli, wtedy on się obrócił i zaczął biec, krzycząc: „Nie złapiecie Hosseina, wy kmiotodzbany!”.

– I wtedy oni wrócili do was? – dopytuję.

– Nie, do chuja. Pobiegli za nim. Biegł tuż przed nimi i ich drażnił. Wbiegł w Bispegade, potem w Gravensgade, w Algade, aż na Vesterbro. – Łajza ciągnie duży łyk piwa.

– Ale ilu ich było? – pyta Ulla.

– Pięciu.

– Dobra, to chyba całkiem dużo.

– Ta, ale myślę, że spokojnie dojechałby pięciu wsiurom – mówi Łajza. – Ale ich przeciorał po całym śródmieściu, póki ci się nie zajechali. Facet jest w zajebistej formie.

– To jednak dziwne, że nie wjechał choć jednemu.

– Ta, też tak pomyślałem. Spotkaliśmy go później w knajpie Limfjordskroen i Diazepol gadał, że Hossein powinien ich zmasakrować.

Łajza wypija piwo, odsuwa je od ust i teatralnie zdziwiony patrzy na pustą butelkę.

– Dobra, dobra, przyniosę zaraz piwo – proponuję.

– Co? O czym ty mówisz? – Teraz udaje, że go obraziłam.

Podsuwam mu paczkę moich fajek.

– Po prostu mów – nakazuje Ulla.

Łajza uśmiecha się, sadza świeżego papierosa pomiędzy zębami.

– No dobra. Więc Hossein schyla się do Diazepola i mówi: „Co ty se myślisz, że jak by to wyglądało w gazecie lokalnej? Irańczyk wziął wepchnął butelkę pięciu duńskim idiotom, ta butelka wystaje im z szyi tak, że tętnica pompuje ich krew na ulicę? Ten jebnięty ciapol, weteran wojenny i jak mówi irańska ambasada: poszukiwany za dezercję, za mord, za wszystko. Wygląda to dość chujawo jak na ciapaka w Danii”.

Smarki

– Hmmm – wzdycham i wstaję, żeby przynieść piwo.

Teraz już zupełnie nie wiem, co sądzić o Hosseinie. Są też przecież inni Irańczycy w mieście. Była taka grupka czterech, którzy zawsze godzinami siedzieli i pili kawę w 1000Fryd. Okazało się jednak, że siedzieli i dylowali, po czym dostali kwarantannę, czego zaakceptowanie przyszło im z trudem. „Ty jebany duński rasisto!”, stali i krzyczeli na zarządcę, kiedy ten przekazywał im wyrok.

Jest jeszcze jeden typ – chyba się nazywa Bilal. Długoterminowy bezrobotny w 1000Fryd. W porzo gościu, ale z lekka dziwny, bo miał dwa pociski, które na stałe utkwily mu w czaszce; biegał ze zdjęciem rentgenowskim w kieszeni, które pokazywał tym, co nie chcieli mu wierzyć. Zarządca poprosił go kiedyś, żeby pomalował toaletę na schodach w stronę biura. Kiedy wyszedł, żeby zobaczyć, czy praca postępuje, Bilal stał tam z wielkim uśmiechem. Toaleta była pomalowana; sufit, ściany, podłoga, umywalki, kran i muszla klozetowa aż do taflí wody w niej – wszystko pokryte białym akrylem.

Po Cornerze Łajza wyrusza ze mną i Ullą w stronę 1000Fryd, żeby strzelić se piwko na dobranoc, zanim bar się zamknie o drugiej. Muszę zaraz zmyć się do domu, bo nie chcę ryzykować wybicia zielonego bagniska.

Kiedy idziemy ulicą Kattesundet, zauważamy, jak Hossein łązi niespokojnie przed bramą wejściową do 1000Fryd.

– Hossein? Co się dzieje? – rzuca Łajza i spieszy w jego stronę. Mogę wyczuć, że to, co Hossein pali, to dżoint. Ulla i ja stajemy przy bramie.

– Nie łapię tego – mówi Hossein.

– Ale co się stało? – pyta Łajza.

– Dwa padalce, ruchajły się.

– Co?

– Idę z Kebab House’u przez tę uliczkę – wyjaśnia Hossein, trzęsąc głową i wskazując na miejsce parkingowe po drugiej stronie Kattesundet, gdzie odchodzi droga w stronę Vesterbro. – Mówię ci, były tam dwa smarki i one się po prostu ruchajły, no tam.

– Źle się czujesz? – pyta nerwowo Łajza.

– Tak, to jest paskudztwo.

– Dwa padalce? – dopytuje Łajza.

Hossein wydaje się całkowicie zeschizowany – może halucynuje. Łajza wygląda na zmartwionego.

– To nie może być prawda, Hossein.

– Może – odpowiada tamten. – Spytały, czy też chcę.

– Ja jebie – rzuca Łajza. – Dwa pedale, Hossein.

– Ta. No mówię przecież. Dwa padalce. – Hossein potrząsa głową i spluwa na asfalt. – Muszę tej wódki teraz.

Marzenia świętej głowy

Po kilku dniach przychodzi list od mojej matki. Jest zaadresowany na kamienicę w podwórzu, w której mieszkałam po wyprowadzce od Gorma, a poczta posłała go dalej na adres Asgera. Łapię listonosza na ścieżce prowadzącej do domu i pytam go, co się robi z takim listem, którego nie chce się dostać.

– Oddajesz go na pocztę – mówi zza ramienia – oni przyklejają tam etykietę „odmowa przyjęcia” i zwracają go do nadawcy.

– A nie mogłabym po prostu sama tego napisać na kopercie? – dopytuję, kiedy on zaczyna pchać swój rower po chodniku.

Zatrzymuje się i posyła mi zmęczone spojrzenie.

– Możesz zrobić, co se, do diabła, chcesz.

Okej.

Zaklejam mój adres przy użyciu taśmy malarskiej i piszę: *Odmowa przyjęcia. Zwrot do nadawcy*. Po czym wrzucam gównem do skrzynki. Niech po prostu trzyma się ode mnie z daleka.

Tego samego dnia pojawia się pierwszy znak, że to wszystko zmierza donikąd. Jest on w zasadzie bardzo niewinny i bezkrwawy: sprzedaż idzie do dupy, a Frank – najlepszy kumpel Asgera – wpada kupić kilka gramów.

– Jestem serio zmęczony siedzeniem tu i sprzedawaniem – żali się Asger z westchnieniem.

– No ale masz przecież, kurwa, tyle innych rzeczy do roboty – odpiera Frank. – Co z psami? Zadziało się coś?

– Nie, nie mam ni chuja pojęcia, co jest z nimi nie tak – mówi Asger.

Chwilę po tym, jak go poznałam, kupił Plastusia i Triperkę – dwa szczeniaki rottweilera z niekończącym się rodowodem. Chciał ich użyć do rozplodu i sprzedawać potomstwo za trzy i pół tysiąca koron sztuka. Ale mimo tego, że minęło już trochę czasu, od kiedy zaczęły być zdolne do rozplodu, w ogóle się nie ruchają, a gdy to robią, nic z tego nie wychodzi.

– Mógłbyś sam zacząć szmuglować z Amsterdamu – proponuje Frank.

– Nie, to nie dla mnie.

To prawda. Asger jest zbyt paranoiczny, żeby samemu jeździć do Kopenhagi i sprowadzać swoje płyty do Christianii; ja to robię, bo to ja znam dilerów w hurcie, Axela. Zanim pojawiłam się na planie, Asger sprzedawał tylko standardową plastelinę, którą kupował od lokalnych gangsterów.

– To jest łatwizna – oznajmia Frank. – Bierzesz pakunki z towarem do toalety w pociągu, który przejeżdża przez granicę i podklejasz je pod muszlę albo śmietnikiem taśmą gaffa.

Taśma gaffa to taka taśma koloru srebrnego, której muzycy używają do łączenia swoich wzmacniaczy i przytwierdzenia kabli na scenie, a punki do łącania swoich buciorów wojskowych, kurtek, gaci, czegokolwiek.

– Jedyne, co ryzykujesz, to to, że stracisz załadunek – dodaje. – Albo moglibyśmy zrobić to, o czym mówiliśmy: załatwić se dobrze postawionych klientów i im dostarczać, ty i ja?

Gadali o tym już od wielu miesięcy, a Asger zaczął robić gotowe dzointy dla grupki siedemnastoletnich–dziewiętnastoletnich hiphopowców i skejterów, którzy zaczęli u nas handlować. Ale generalnie nic z tym nie zrobił, a ja mu podpierałam to, co do tej pory skreślił.

– Nie, to za mało, kurwa... Ja chcę zrobić coś porządnie – mówi Asger – zamiast siedzieć tutaj i czekać na klientów, którzy wciąż i wciąż chcą cię urobić albo wymienić się na jakieś podjebane gówno.

To prawda. To jest popierdolone. Oferują nam co najmniej jedno radio samochodowe w tygodniu, a my nie mamy nawet auta. Asger siedzi przez większość czasu i rysuje w bloku jakieś małe postaci, i pije kawę, kiedy czeka na klientów. A kiedy ci już są, to siedzi i pali razem z nimi, bo to część obsługi klienta. To z kolei nie czyni go mądrzejszym kompanem. Ja też zaczęłam palić trochę za dużo.

– Mógłbyś też, do cholery, zostać tatuażystą – proponuje Frank.

Siedzę na sofie i czytam „Ekstra Bladet”, ale kiedy słyszę te słowa, podnoszę się. Asger patrzy znad bloku, przy którym siedzi i rysuje; zbyt długo jest cicho.

– Tak jest, kurwa – mówi powoli, zaskoczony.

Frank jara się swoją propozycją, zaczyna ją rozwijać.

– No bo, kurwa, siedzisz tam cały czas i rysujesz. Znasz przecież niektórych z tych kolesi z Klarup, oni na pewno, kurwa, uważają, że to jest okej.

Asger i Frank dorastali w Klarup, a „kolesie z Klarup” to gangusy. Razem z tymi z Vejgaard próbują przejąć kontrolę nad narkohandlem w Aalborgu, ponieważ Bullshit stracili nadzór i stopniowo

zaczęli się rozczłonkowywać, od kiedy Makrela – ich prezydent – został zastrzelony przez H.A. Teraz panuje coś na kształt próżni, gdzie niezależni ludzie mogą się ustawić na miejskiej narkoscenie, jeśli mają jakieś kontakty i są wystarczająco niebezpieczni, żeby zyskać trochę szacunku.

Wcześniej wszyscy dilerzy, zmuszani, żeby kupować hurtowo od gangusów, byli marionetkami; niemożliwe było dostać cokolwiek innego niż nudny, suchutki hasz-standard, którego gram klientela kupowała za pięćdziesiąt koron. Były też surowe represje dla freelansowych dilerów: banda do spraw wpierdolu, a w najgorszym razie łamunek na kościach. Ale teraz sytuacja jest lepsza – i hasz jest lepszy; do miasta wpada wyższa jakość, ale nieregularnie. I to też kosztuje. Siedemdziesiąt koron za coś przyzwoitego. Sto dwadzieścia koron za gram jakości, która śmiga pod nazwą *Do widzenia krewni i koledzy*. Gangusy zaś odzyskują swoją władzę – zasadzają się też na branżę tatuażu i bez ich przyzwolenia nie można robić im konkurencji.

– Tak, do chuja – mówi Asger i powoli wstaje, żeby iść się wyszczać. Zawsze musi się wyszczać, kiedy myśli; nie szcza zbyt często.

– Czy nie byłoby zajebiście, Maria? – zwraca się do mnie Frank.

– Pytanie, czy to jest realne – odpowiadam.

– No tak, siedzimy tylko i gadamy – odpiera Frank.

Kiwam głową w stronę toalety i patrzę na niego.

– Ta, ty siedzisz i roisz mu fioły w bani, a to ja muszę z nimi później żyć.

– Uspokój się, Maria.

– Nie mówże mi, kurwa, żebym się uspokoila.

Wyskrobki

Drugi raz jestem dziewczyną diler. Pierwszy nazywał się Gorm. Zainwestował dwadzieścia tysięcy koron w ogromniastą stertę świeżo zebranej trawki, ale nie wiedział, jak ją wysuszyć, no i mu

stęchła. Kiedy się ją pali, powstają trujące związki chemiczne. Cieszyła mnie ta katastrofa – trawkowy dym śmierdzi jak kopcone śmieci z ogródka działkowego. Dotarliśmy już do punktu, w którym stałam i krzyczałam: „Nie trzeba, kurwa, siedzieć i palić ze wszystkimi klientami!”.

„Ja palę w samoobronie”, mówił Gorm – na granicy anoreksji i skutą w trzy dupy. Jego śniadanie składało się z kawy, która była parzona na odtłuszczonym mleku kakaowym Mathilde zamiast wody.

Któregoś dnia jego wierzyciele zabrali mu wieżę stereo, która kosztowała go czterdzieści trzy tysiące koron. Był zupełnie spłukany. Zabrali mu też jego porcję haszu. Zasłonił żaluzje, pogasił wszystkie światła i włączył telewizor – sygnał dla klientów, że mir jego życia prywatnego nie może zostać zakłócony. Robił wyskrobki. Wykorzystywał wszystko, co się da: niedopałki dżointów, zwęglone resztki z wnętrza fajki indyjskiej i fajki zwykłej, syrop z cybucha. Siadał z odrobiną tytoniu pomiędzy palcami i opalał sziszę od wewnątrz, gdzie zawsze tkwią tłuste szczątki po grudzie i drobinki tytoniu.

Wychodziłam do kuchni zaparzyć sobie kawę, ale on przelewał całą wodę z sziszy przez lejek od zaparzaczk. Musiałam więc dokładnie wycisnąć filtr, wyskrobać fusy i podgrzać zapalniczką, żeby usunąć resztki płynu.

Dobra, ja też jarałam wyskrobki i rzeczywiście można dostać od nich przyzwoitego kopa, ale to zupełne przeciwieństwo upalenia się. Tym się można jedynie zmasakrować.

– Na chuj palisz ten szajs? – spytałam go. – Nic tylko się tym upierdolisz.

– To też dobrze – odparł Gorm. – Chodzi o to, żeby cię kopnęło.

I siedział zupełnie sztywny, i gapił się na program w tv o hodowaniu orchidei w szklarniach.

Przez następne trzy dni karmił się grzybami i ostrzył wielki sztylet na osełce, na którą non stop pluł. Musiałam odprowadzać klientów

z kwitkiem. Pojeb siedział i sprawdzał ostrze noża w ten sposób, że ciął filtr do kawy na cienkie paski. Nie miałam ochoty nawet pytać, co do chuja. Wszyscy ludzie, których znałam, zostali zaangażowani w szukanie dla mnie lokum.

Wtedy przyszedł jakiś kumpel Gorma, który nie do końca wiedział, że już po ptokach. Ziomek spytał go, co on właściwie robi.

- Chcę odciąć połędwiczkę z krowy.
 - Ale z jakiej krowy?
 - Chodzą krowy przy oczyszczalni – odpowiedział Gorm.
- Spakowałam więc moje torby i zadzwoniłam po taksówkę.

Wyciskany lód

Pokłóciłam się z moją matką – także wtedy – i nie chciałam zamieszkać u ojca, bo ten mieszkał aż przy Halkær Bredning, niedaleko wioski Store Ajstrup.

Najpierw zatrzymałam się w hostelu po drugiej stronie toru wyścigowego, ale po czternastu dniach dostałam lokum na pierwszym piętrze w lodowato zimnej kamienicy w podwórzu przy Valdemarsgade. Toaleta znajdowała się pod schodami na poziomie parteru, a truchło, od którego przejęłam mieszkanie, używało zlewu w kuchni jako pisuaru. Było to najzwyczajniej w świecie obrzydliwe i pamiętam, jak stałam tam w gumowych rękawiczkach ze środkiem czyszczącym Łatwe Sprzątanie i prosiłam siły wyższe, żeby obdarowały mnie dżointem z nieba.

Wtedy dobiegło mnie walenie w drzwi i w wejściu Asger wręczył mi kolorowego wyciskanego z tubki loda. „Ten jest dla ciebie”, powiedział. Wtedy często flirtowałam z nim na mieście.

- Nieee, dzięki – odparłam. – Bo co, mam go lizać, aż stanie się zupełnie lepki?
- Uuuch – wycodził. – Możesz go równie dobrze postawić w oknie i oglądać, jak topnieje.
- Nie wiem, czy tego chcę – stwierdziłam. – To byłby grzech.

– Też tak myślę – odpowiedział i zaprosiłam go do środka, usiadłam issałam ten lód.

On skręcał dużego lolka, a ja podziwiałam jego muskularne i wytatuowane przedramiona, gdzie widniały smoki i trupie głowy ze skrzyżowanymi kośćmi, noże, płomienie, serca i róże. Zapaliliśmy dżoja; o ja pierdole, ależ mi tego brakowało. Hajsowo byłam zupełnie w dupie, więc powiedziałam mu, że potrzebuję roboty. I też czegoś do palenia. To jest miałam dziewiętnaście lat i byłam dobrze zaopatrywana przez Gorma, więc nie wiedziałam, jak się handluje – nic nie wiedziałam, ale tego przecież nie zdradziłam Asgerowi. Wstał, żeby skorzystać z toalety.

– Może być, że załatwię ci robotę – oznajmił po wszystkim.

I tak właśnie zrobił – dostałam pracę jako barmanka w Café Rendezvous przy Jomfru Ane Gade. To była przejebana historia. Właściciel knajpy był dobrym znajomym faceta, który wisiał jakimś gangusom czterdzieści tysięcy koron za narkotyki. Gangusy domagały się jakiegoś ugodowego gestu, żeby wydłużyć facetowi termin spłaty, ale też żeby nie spuszczać mu wpierdolu, na który zasłużył. Asger najwyraźniej był zaangażowany w tę sprawę i miał do dyspozycji przysługę od tych zbirów. Umowa była taka, że właściciel knajpy zatrudni dziewczynę, którą wyznaczą gangusy – i to byłam ja, choć nie znałam żadnego z nich.

Poszłam więc tam i obsługiwałam, i w zasadzie była to chujnia, bo inni zatrudnieni mnie nienawidzili. Zarówno oni, jak i właściciel myśleli, że mam stać i sprzedawać gościom koks. Jednocześnie wszyscy barmani i barmanki przycinali na centylitrach za każdym razem, gdy nalewali trunki, żeby potem opylać piwo i drinki poza kasą i zatrzymywać hajs w kieszeni, a właściciel tego nie zauważył przy podliczaniu.

A, i inne kelnerki nie lubiły moich ciuchów. Bo ubierałyśmy się w takie zupełnie zaśnieżone bluzki, zanim weszłyśmy do knajpy, ale ja chodziłam we własnych ciuchach, więc zostałam otaksowana wzrokiem. No i miałam też srebrnego węża wijącego się

na piętnastu–dwudziestu centymetrach mojego prawego przedramienia; moja matka poprosiła jubilera, żeby mi go zrobił, zanim się poróżniłyśmy. Tej ozdoby ni chuja nie mogły znieść – zwłaszcza dlatego, że wielu typów myśli, że to interesujące i że ja jestem interesująca. Byłam tam przez trzy miesiące.

Pies rzeźnicki

Zaczęłam na potęgę widywać się z Asgerem. Przychodził i odbierał mnie, kiedy kończyłam pracę. Krótkie rękawy T-shirtu ciasno opinały jego dobrze zbudowane ramiona, zawsze miał też paczkę kingsów upchniętą pod lewy rękawek, więc czułam tytoń, kiedy przyciskał mnie do siebie. Bardzo to lubiłam.

Rzucił swoją pracę jako bramkarz i zaczął jako diler. Ale sąsiedzi w jego klatce skarżyli się, że jest za duży ruch w górę i w dół do późnych godzin nocnych. Dostał też wtedy Plastusia i Triperkę, więc wynajął dom na Schleppegrellsgade i zatrudnił znajomego cieślę, żeby wybudował mu w ogródku wybieg. No i ja się wprowadziłam.

Każdego dnia chodziliśmy na spacer z psami, które wtedy miały po dziesięć miesięcy. Asger kupił je tanio od kolegi, którego dziewczyna okazała się alergiczką. Kolega chodził z nimi na tresurę, więc rozumiały zwykłe polecenia typu „nie”, „chodź”, „kładź się” i „siad”. Nauczyły się też, jak nie gryźć rzeczy, jak nie skakać na ludzi i jak należy iść, więc było spoko.

– A jeśli się okaże, że są ładne, to mogę je brać na wystawy – mówił Asger i plótl jak najęty o szkoleniu psów służbowych, o programie dla psów policyjnych i o tym, żeby dostać zatwierdzenie rodowodu od Duńskiego Stowarzyszenia Hodowców. – Wiesz, ile szczeniaków ma suka tego typu? – pytał i sam sobie odpowiadał: – Przeciętnie coś około dziesięciu, które przetrwają. Mogę je sprzedać za trzy i pół tysiąca za sztukę. To będzie trzydzieści pięć tysięcy koron!

Przeczytałam niektóre z leżących u Asgera papierów o rottweilach. Coś o tym, że pochodzą od krótkowłosych psów zaganiających,

używanych przez armie rzymskie jako psy pasterskie do pilnowania bydła ciągniętego razem z armią przez całą Europę jako prowiant. Cesarz Neron wykorzystywał je jako psy wojenne i trzymał je u siebie w pałacu, żeby się chronić. Później w niemieckim mieście handlowym Rottweil rzeźnicy i handlarze bykami lubili posługiwać się nimi jako strażnikami i udoskonalili ich rasę, a następnie zaprzęgli do strzeżenia i zaganiania bydła i świń. Używano ich także jako zwierząt zaprzęgowych. Rottweiler pies rzeźnicki – brzmi pełna ich nazwa.

Specyfikacja mówiła, że powinien on tryskać siłą, być czarny z wyraźnie oddzielnym czerwono-brązowym pasem; „psem, któremu – pomimo jego atletycznego wyglądu – nie brakuje szlachetności i który sprawdza się zwłaszcza jako pies kompan, pies służący, pies użytkowy”.

Brzmiało to jak opis chłopaka, którego mogłabym sobie życzyć.

„Z natury jest przyjazny i spokojny, kocha dzieci, jest oddany i posłuszny, łatwy w prowadzeniu, lubi pracować. Jego aparycja cechuje się pierwotną siłą; jest pewny siebie, trzyma nerwy na wodzy, nieustraszony. Szczególnie wyczulony na wszystko, co dzieje się wokół niego”.

Handlarze bydła, którzy byli w podróży, przywiązywali cenne rzeczy do psiej obroży, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Genealogia psów jest dystygowana do cna: Plastuś pochodzi od Ulana Von Filalstranda, Triperka zaś od City Von Rütliweg, która była córką Arco Von Arbona i Oli Von Limmatblick, co zdaniem Asgera znaczy „najczystsza krew”.

Biuro podróży

Stoimy na ścieżce przed domem w jeden z tych pierwszych dni, bo dopiero co wyprowadziliśmy psy i wstąpiliśmy do Kebab House’u, żeby odebrać kotlety z baraniny, hummus i smażone ziemniaki. Łajza i Thomas-Diazepol weszli od strony chodnika. Łajza stoi i trzęsie się z jesiennej zimna, chuderlawy i szary, rozmywający się.

Diazepeł podryguje nabuzowany, przenikliwe oczy świecą w jego zapadłej kościstej facjacie. Jak zawsze ma ze sobą zwiniętą książkę w miękkiej oprawie wystającą mu z tylnej kieszeni; Diazepeł połyka książki i tabletki z niemal tak samo wielkim entuzjazmem.

Sąsiad patrzy znad żywopłotu.

– Kim są ci wszyscy ludzie, którzy przychodzą i was odwiedzają? – pyta.

Asger rzuca do Diazepeła i Łajzy, żeby weszli do środka, my zaraz przyjdziemy.

– Prowadzę biuro podróży – odpowiada Asger. – Wycieczki wspinaczkowe w Algierii.

– Ale oni nie wyglądają jak ludzie, którzy jadą w podróż – mówi sąsiad, kiedy ja idę w stronę domu, bo Diazepeł znajduje wszystko, co warte kradzieży, w trochę poniżej trzech minut.

– Wyglądają, jakby jej potrzebowali – odpiera Asger – bo są zbyt bladzi.

Łajza stoi w dużym pokoju ze swoją zatłuszczoną pięćdziesiątką w dłoni i chce jeden gram standarda. Diazepeł łązi nabuzowany z dłońmi głęboko zakopanymi w kieszeniach i patrzy na inwentarz. Nie mamy zbyt wielu rzeczy wartych ukradzenia.

– Do chuja, Łajza, jeden gram – odzywa się Asger, usiadłszy przy stole jadalnym; zaczyna łamać mały kawałek haszu, żeby odważyć gram na dilerskiej wadze.

Diazepeł podchodzi do stołu i bierze kostki.

– Hej – ostrzega go Asger.

Nie jest w dobrym tonie wsadzać palce w hasz diler. Diazepeł ma to w dupie. Trze kostkę dwoma palcami, żeby wyczuć zawartość oleju i podnosi ją do nosa, żeby wwąchać się w jej jakość. Po czym kładzie ją z powrotem na stół.

– Nie masz niczego innego niż k a r t o n ? – pyta z odrazą w głosie.

To standardowy towar; można się tym ujebać na sztywno – jakość jest zbyt słaba, żeby można było złapać najmniejszy haj.

– Obecnie nie ma niczego, kurwa, innego w mieście – odpowiada Asger i podaje Łajzie jego zakup; wręcza mu ponad gram.

– Lars ma w chuj lepszy szit niż ten tu – rzuca Diazepol.

Lars jest lepiej znany jako Lars-Diler. Jest jednym z konkurentów Asgera w dzielnicy Vestbyen, ale moim zdaniem Lars opyla bardziej punkowej i pojechanej klienteli, klienci Asgera to z kolei twardsze typy – tak przynajmniej o sobie myślą.

– Nie inaczej – mówi Asger – ale pozwolę sobie zauważyć, że u Larsa już nie możesz brać na zeszyt, no i gościnność nie jest aż tak okazała.

– O, słyszałeś o tym – stwierdza obojętnie Diazepol. Plotki głoszą, że zajebał Larsowi kilkaset grzybków.

Łajza siedzi na fotelu i skręca sobie blancika z cirka jednej trzeciej grama. Plastuś i Triperka z wolna przybiegają z kuchni, gdzie piły ze swoich misek. Łajza odpala dżointa, bierze pierwszy buch i zaczyna bawić się ze szczeniętami, które do niego podeszły. Myślałam, że to brutalne psy, nie są jednak szczególnie agresywne. Plastuś i Triperka, obydwójce, tarzają się na plecach, leżąc z kończynami w powietrzu, a Łajza drapie je po brzuchach i smaży sobie bata. Nie jestem pewna, czy to dobrze, że się dmucha psom haszem prosto w czaszkę – to są przecież wciąż tylko duże szczenięta.

Diazepol wciska Asgerowi zwinięty banknot stukoronowy i obraca się, żeby popatrzeć na psiaki.

– Mówiłeś, że jak one się nazywają? – pyta niewinnie.

Trzeba uważać – typ bywa perfidny.

– Plastuś i Triperka – odpowiada Asger. – Triperka jest suką.

– Od plasteliny i tripowania na kwasie? – pyta dalej Diazepol.

– Tak, dokładnie tak.

– Bardzo... z m y ś l n i e.

– Siedź cicho – rzuca Asger.

Diazepol cały czas patrzy na psy i cały czas gada w tę samą mańkę.

– To takie typowe, że tacy goście jak ty muszą mieć groźne psy.

– Co masz, kurwa, na myśli? – pyta Asger.

– Nie ma nikogo, kto by cię kochał, więc przytulasz sobie parkę szczeniaków, które są zupełnie zależne od ciebie i dają ci bezwarunkową miłość. I szanują cię, bo możesz im jebnąć. Jednocześnie inni ludzie boją się ciebie, kiedy tak się obnosisz po ulicy ze swoimi bestiami.

– One są, kurwa, do rozplodu – mówi Asger urażony. – One mają genealogię.

Okulary przeciwsłoneczne

Codziennosc z Asgerem była jak codzienność z Gormem, ale z Asgerem dużo przyjemniej. Był śmieszniejszy, miłszy i łatwiej się go kochało.

Ale teraz już po wszystkim – jest tak, jak było wcześniej. Siedzimy w domu, ludzie przychodzą na handel, a ja jestem odpowiedzialna za zakupy i robienie żarcia. Psy wychodzą jedynie na wybieg do ogrodu; ja muszę cały czas przypominać Asgerowi, żeby dał im jedzenie i świeżą wodę. Asger prawie w ogóle nie wychodzi. Tylko kiedy mam okres – wtedy musi iść zrobić zakupy, bo czasem boli tak, że prawie nie mogę się ruszać. Leżę wtedy na sofie pod kołdrą i oglądam tv.

– Pamiętam, co mam kupić, do chuja – mówi poirytowany, kiedy chcę mu robić listę zakupów. I tak ją robię. Musimy kupić jedynie pięć różnych rzeczy w supermarkecie, ale jego pamięć krótkotrwała zupełnie przeminęła z dymem.

Asger stoi ubrany w kurtkę, z okularami przeciwsłonecznymi na czole, chociaż na zewnątrz szarówka. Grzebie w stercie papieru i starych egzemplarzach dziennika „Ekstra Bladet” na stole.

– Gdzie one są? – bełkocze.

– Czego szukasz? – pytam.

– Moich okularów przeciwsłonecznych. Widziałaś gdzieś moje jebane okulary?

– Tam jakieś leżą, na parapecie – odpowiadam.

Podchodzi, bierze je i zakłada.

– Okej – rzuca zadowolony – teraz mogę iść.

Wygląda jak totalny przygłup w okularach przeciwsłonecznych na oczach i identycznej parze zatkniętej na czole. Muszę zaciskać zęby, żeby się nie śmiać, ale to nie jest bardzo trudne, bo kiedy się śmieję, to tak jakby ktoś obracał mi w podbrzuszu długim nożem.

Asger jest megawkurwiony, kiedy wraca – ma na sobie tylko jedną parę okularów. Diazepol trafił na niego na ulicy i powiedział mu, jak to jest zajebiście w pytkę, że ma dwie pary okularów na sobie: „Okulary przeciwsłoneczne są w pytkę, Asger. Ale dwie pary okularów przeciwsłonecznych, to jest, kurwa, przecież p o d w ó j n i e w pytkę”.

– Nie mogłam ci powiedzieć, skarbie. Pomyślałam, że to strasznie śmieszne.

– Nie słyszę, żeby ktokolwiek się śmiał – odparł gorzko, a ja skumałam, że nazwałam go „skarbem”.

Tak zaczęłam go nazywać: skarbie. Skarb-I-Jego-Klejnoty – jakby był jakimś ekonomicznym konstruktem w moim życiu. To pojebane. I pali tak dużo, że to zupełnie zrujnowało jego poczucie humoru. No i nie umie już porządnie ruchać. To niesamowite, jak różni są faceci – jedni potrafią trzymać fiuta na sztorc jedynie, kiedy są naprawdę najebani i kompletnie zniszczeni, a inni w ogóle nie potrafią. W każdym razie Asger nie daje rady palić tak dużo.

Kiedy nie chce uprawiać seksu, mówi zawsze, że to dlatego, że nie umie z kondomem – to zabija chuć. „Przecież nikt nie wpieprza krówek z papierkiem”, mówi. Kretyński komentarz – przecież nie zjadam jego krówki w płaszczu przeciwdeszczowym. On chce, że- bym brała pigułki antykoncepcyjne, ale ja nie chcę, bo już to robiłam, kiedy się wprowadziłam do Gorma. Wtedy myślałam sobie: „Dobra, teraz mam chłopaka – teraz więc mogę brać pigułki”. W ciągu pięciu tygodni moje cycki zrobiły się dwa razy większe, a moja dupa – Jezu, szatan. No i twarz – dostałam świńskich oczu. Musi być coś nie tak z chemią, kiedy taka mała tabletką potrafi zrobić taką rozpiarduchę.

Rzuciłam więc tabletki i zrzuciłam wagę w pięć sekund. Nie jem już tego gówna – to jest złe. I nie chcę, kurwa, mieć w sobie jego nasienia. Moje jajeczka są dojrzałe, a on nie będzie ojcem mojego potomstwa – nie jest do tego wystarczająco dobry.

Pieczony boczek

Słyszę, że ktoś się dobija do drzwi od jedenastej, ale my nie wstajemy z łóżka przed dwunastą. Później znajdujemy dwie kartki, jedną od mojej matki, drugą z poczty informującą o paczce dla Asgera. Tę od matki wypycham se w gacie, zanim wracam do Asgera, który leży w łóżku, żeby dać mu kartkę od poczty. Potem idę do łazienki i otwieram list wyciągnięty z gaci.

Droga Mario. Smutno mi, że powiedziałam tak o twoim ojcu. Przepraszam, przepraszam, przepraszam, kochanie. Zadzwońabyś do mnie? Może byśmy zjadły coś razem któregoś dnia? Nie mogę tego znieść, kiedy jesteście pokłócone. Wiele serdecznych pozdrowień. Mama.

Kiedy my... j e s t e ś m y p o k ł ó c o n e. No jesteśmy, kurwa, od dawna. Suka obsmarowuje mojego ojca i myśli sobie, że da się to załatwić trzema „przepraszam” i kilogramem podgrzanego żarcia? Tak łatwo nie będzie. I chciałabym wiedzieć, skąd ma adres Asgera.

- Co to za paczka? – pytam, gdy golę sobie nogi w łazience.
- Iii tam – mówi i łązi uśmiechnięty.
- No co to jest?
- Poczekasz, to zobaczysz. – I próbuje mnie zwabić, żebym ją odebrała. – Zawsze przytrafi się jakiś handel, kochanie.
- No to zrób klientom kawę, kiedy będą czekać – odpowiadam. – I weź ze sobą psy.
- Nie można ich po prostu wypuścić na wybieg do ogrodu?
- Ale one muszą się czasem wybiegać, to duże psy – zauważam. – I możesz zrobić zakupy, jak już będziesz na zewnątrz.

- Niiieeee, nie możesz ty iść?
- Muszę iść do szkoły – mówię, jakby mnie nagle oświeciło.
- Ale przecież ty tam nie chodzisz.
- Ale dziś muszę – odpieram i dyktuję mu, co ma kupić.

Chodzę do szkoły kształcenia zawodowego dla bezrobotnych, ale mam zwolnienie lekarskie – nie dlatego, że coś jest ze mną nie tak; po prostu nie chce mi się tam łązić, więc dostałam diagnozę: uraz karku.

Kiedy Asger wrócił, oczywiście „zapomniał” zrobić zakupy – zapomniał też, że wybierałam się do szkoły.

– Psy zachowywały się strasznie dziwnie – oznajmia z zadumą, kiedy stoi z miną waśniaka i otwiera paczkę na stole. To, kurwa, dosyć jasne, skoro w ogóle ich nie wyprowadza. Na początku je trenował, ale teraz zapomniwały wszystko, co potrafiły.

Paczka jest wypełniona osprzętem do robienia tatuaży o wartości czterech tysięcy koron. Asger zamówił je z amerykańskiej firmy wysyłkowej, która zamieściła ogłoszenie w gazecie o motorach. Utnę Frankowi jaja następnym razem, kiedy go zobaczę.

– Tak, tak, tak – mówi Asger, kiedy w dłoniach przesuwam i obracam sprzęt i części dodatkowe.

Jest tam urządzenie z pedałem dostarczające prąd, tusz, taśma, igły, butelka na sprej, maszynka do tatuażu, mydło, instrukcja obsługi, gumki recepturki, rękawiczki lateksowe, plastry, jednorazowe maszynki do golenia, rysunki standardowych tatuaży, kalka, ołówki, lupa zegarmistrzowska, rurka na igły. Ale nie ma niczego do dezynfekcji. Czy typy nigdy nie słyszały o AIDS?

– Maria, nie poszłabyś zrobić zakupów? – pyta. – Zjedlibyśmy pieczony boczek.

– Idę do szkoły – powtarzam, choć jest za kwadrans druga po południu.

Zaczyna dzwonić, żeby złapać Łajzę. Siedzi w Café 1000Fryd.

– Pójdiesz do supermarketu i kupisz największy boczek, jaki mają – instruuje go.

Biorę kurtkę i się zmywam. Ja pierdolę, ależ oni są irytujący. Przecież on nigdy, kurwa, nie będzie tatuażystą, jest w stanie skoncentrować się na czymkolwiek najwyżej przez dwadzieścia minut. Mam dwadzieścia lat, on jest pięć lat starszy. Nie wiem... Spodziewałam się jednak jakiegokolwiek formy ćwiczenia mózgu.

Sama wychodzę, żeby zrobić zakupy. Po drodze mijam budkę telefoniczną. No dobra. Wchodzę i dzwonię do matki, na adres warsztatu ceramiki.

– Skąd masz mój adres? – pytam.

– Maria... nie mogłybyśmy po prostu...

– Nie. Skąd?

Mówi mi, że poszła do Departamentu Ewidencji Ludności i dała im mój stary adres u Gorma, w zamian dostała obecny. Za pięćdziesiąt koron. W ogóle co to, do chuja, jest za kraj, gdzie byle idiota może dostać czyjkolwiek adres? I nie można samemu decydować o, kurwa, czymkolwiek.

– Nie przysłałybyś zjeść obiad w czwartek? – pyta matka.

– Ta, dobra – zgadzam się. Nie dlatego, że... To znaczy nie wybaczam jej wcale, kurwa, ot tak, ale... muszę się dowiedzieć, jakie mam opcje.

W drodze do domu myślę o Ulli. Może powinnam... Hm, kiedy o tym myślę, robi mi się ciepło w środku, i to nie dlatego, że przebywanie z Asgerem jest jakoś szczególnie wkurzające. Może zatem ja jestem...? To jest... nie wiem tego.

Ledwo co weszłam do domu, przychodzi Łajza z boczkiem, który waży niecałe dwa kilogramy.

– ARGHH, DO CHUJA! – krzyczy Asger, bo boczek jest, rzecz jasna, ze skórką. – Nie mogę go, kurwa, tatuować, bo jest cały pocięty na kawałki.

Łajza stoi i wygląda na przestraszonego i smutnego. Myśli o kasie, którą wyłożył, i tych kilku gramach tekturowego haszu, które mu obiecano za załatwienie sprawunku. Asger patrzy z markotnym

wyrazem twarzy na Łajzę, ten trzyma asekurancko ręce przed sobą i zaczyna przeciskać się w stronę drzwi.

– Jeden mały? – pyta Asger. – Za cztery gramy afgańca?

Łajza opuszcza dłonie, wygląda na skonfundowanego, rzuca szybkie spojrzenie na mnie i dalej na osprzęt do tatuaży.

„Afganiec” to najlepszy hasz, jakim operuje Asger – teraz kosztuje siedemdziesiąt pięć koron za gram i tylko dobrzy klienci mają prawo go kupić.

– Asger – zwracam się do niego ostro.

– Można też poćwiczyć na bananach – mówi pokornie Łajza – tylko nie mogą być zbyt dojrzałe.

Asger fuczy:

– Bananach. – Obraca się w stronę okna, wzdycha i mamrocze: – Jebany Łajza.

Posyłam Łajzie łagodne spojrzenie i kiwam głową w stronę narzędzi na stole, po czym siadam, żeby skrócić blanta na bambusowej rurce, którą wycięłam i wypolerowałam jesienią, kiedy byłam u ojca.

– Uchhh... nie możemy po prostu... uch, zająć z bonga? – Łajza szepcze do mnie, żeby nie wnerwiać Asgera.

– Nie – odpowiadam.

Mamy bongo, ale kiedy palę z główki, robię się strasznie skołowaciała i jakby chorawa. Bo bongo to w zasadzie fajka wodna – tylko że bez cybucha. Zamiast tego rurka przy główce funkcjonuje jak cybuch; ciągnie się, dopóki kołek się nie rozpali, wtedy ściąga się główkę z bonga i połyka cały ładunek za jednym machem. Bongo Asgera jest ze skóry – to dość niezwykle i nadzwyczaj ohydne.

Palę blanta razem z Łajzą i daję mu hajs za boczek – to przecież, kurwa, nie jego wina, że Asger nie jest w stanie dać wyraźnych wytycznych. Jak tylko sprawa jest załatwiona, Łajza się zmywa. Zazwyczaj kocham palić bata popołudniami i potem leżeć i wałkonić się przy filmie albo paplać z ludźmi, którzy wpadają na chwilę. Ale teraz próżnia leży i czyha na mnie. Zmraża mnie.

Chwilę później Asger siedzi i masakruje pięć bananów, które dopiero co kupiłam.

– Ale przecież możesz je później zjeść – mówi. – Nie sądzę, żeby tusz przedostawał się przez skórę.

Kocham Marię, pisze na jednym z nich. Ale nie chcę ich jeść – nie sądzę, żeby mnie kochał.

Próbuje mnie zachęcić, żebym upiekła boczek, żeby się nie zmarnował, ale ja nie chcę martwej świni w moim piekarniku. Zamiast tego kroji ją na kawałki i rzuca Plastusiowi i Triperce na wybieg, wbrew moim ostrzeżeniom. I oczywiście dwa dni później psy mają zaparcia – nie są przyzwyczajone do surowego mięsa, a boczek z chujowego supermarketu jest bez dwóch zdań pełen szkodliwych bakterii. Przez następne czternaście dni maszynka do tatuażu leży nieruchomo, a ja się cieszę, że ów projekt umarł dość szybką śmiercią. Radość moja za wczesna, o wiele za wczesna.

Krew i kości

Mówię Asgerowi, że wybieram się do kina, a idę do wielkiego mieszkania mojej matki i Hansa-Jørgena na Boulevarden. Co za tym właściwie stoi?, pytam sama siebie. Nie chcę mieszkać z nią i Hansem-Jørgenem. Dlaczego miałabym? Ostatnim razem było przejebanie. Nie biorę też w ogóle pod uwagę poprawiania mojego egzaminu, co jest jedyną rzeczą, o jakiej myśli moja matka. „Wykształcenie jest ważne, Maria” – tak brzmi jej mantra, chociaż sama nie ma żadnego.

Przystawką jest łoś, poza tym Hans-Jørgen zrobił tartę warzywną, zieloną sałatę i chleb czosnkowy. To duży progres, bo zazwyczaj siedzieli ze swoim krwawiącym mięsiwem, a ja mogłam zjeść sałatę i kartofle.

– Mmmm – rozplywa się matka, kiedy tylko zaczęła żuć łośsia. – Nie, no, ale to jest pyszne. Nie uważasz, że to pyszne, Maria?

– Jest okej – odpowiadam.

Nienawidziłam ich nieustannego paplania o jedzeniu w jego trakcie. Porównują tego łososa z czymś, co jedli w restauracji na Prowansji w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym. „I tam był ten f a n t a s t y c z n y widok. Pamiętasz go, Maria?” Tak, jasne – drzewa, pola, budynki, niebo; wyluzuj, kobieto.

– Czym zajmuje się... Asger? – pyta matka.

– Hmm, jest ochroniarzem – mówię, bo był nim, kiedy go spotkałam. – A czasem jest barmanem. – To z kolei kłamstwo.

– O, a gdzie?

– W różnych miejscach – rzucam wymijająco. Nie powiem jej, że jest dilerem, takich haków nie może na mnie mieć. Zdaję sobie sprawę, że przełknęłaby wiele, gdyby się o tym dowiedziała. Poniechałaby wszelkich warunków, byle tylko ściągnąć mnie do domu. Ale...

Na razie nie wspomina o moim egzaminie na studia, ale Hans-Jørgen jest chętny, żeby rozstawić starą scenografię.

– I przygotowujesz się do egzaminu? – zwraca się do mnie. Jest nastawiony poufale i przyjaźnie, jednocześnie widzę jego przekonanie, że tym pytaniem odciąża moją matkę. Ta z kolei wygląda na przełkniętą.

Patrzę na niego, już mam mówić: „Na chuj się wpierdalasz? Nie jesteś moim ojcem. Mam już jednego. Mieszka w Store Ajstrup. Pamiętasz go, mam? Spierdoliłaś od niego i nie pozwoliłaś mi widywać mojego własnego o j c a”. Słowa te już stoją w kolejce za moimi zębami. Ale dociera do mnie, o co chodzi Hansowi-Jørgenowi. Rozwiódł się z żoną przed siedmiu–ośmiu laty, a przed czterema spotkał moją matkę. I kocha jej namacalną kobiecość, jej pieśszoty i oddanie. Uwielbia to, że się ruchają, piją wino i chodzą na koncerty orkiestry symfonicznej, jeżdżą na miejskie wakacje do Barcelony i tak dalej, do porzygu. Jedyńm felerem mojej matki jestem ja – gówniara, która w dupie ma bycie grzeczną dziewczynką. Nic nie ucieszyłoby go bardziej niż moje trzymanie się z dała, tak żeby mógł mieć matkę wyłącznie dla siebie. A ona jest tym rodzajem kobiety, która nie potrafi żyć bez mężczyzny – tumanieje

wtedy, nieruchomieje. Lata pomiędzy opuszczeniem ojca a poznaniem Hansa-Jørgena były... beznadziejne. Tak że, oczywiście, będzie razem z nim. Rozumiem, że go lubi, ale weź, kurwa, otwórz oczy, kobieto; siedzisz naprzeciwko swojej własnej krwi i własnych kości i pozwalasz temu zjebanemu pacanowi, żeby cię traktował jak popychadło.

Czy przygotowuję się do egzaminu?

– Tak – odpowiadam.

I wszystko jest w jak najlepszym porządku, uśmiech do wszystkich i wszystkiego – choć radość Hansa-Jørgena nie jest zbyt przekonująca. Jak wymalowany stoi na jego twarzy strach przed moim powrotem do mieszkania. Szczęśliwie chwilę później idzie do pracy, a ja znajduję wymówkę, że o dziewiątej spotykam się z Asgerem pod kinem.

Eksplodujące słońce

Siedzę i kartkuję instrukcję obsługi maszyny do tatuażu. Asger z Frankiem wyszli wymusić spłatę jakiegoś starego długu, a psy są na wybiegu, bo Triperka zaczęła żuć moją tenisówkę.

Przynoszę banana z kuchni i tatuuję na nim małe wzorki. Igłę zanurza się w tuszu i wtatuowuje tusz do środka. Maszynka wprawia dłoń w delikatne drgania, tusz przyjemnie pachnie. Znajduję płytę Einstürzende Neubauten; *Halber Mensch* – to jakaś okropna muzyka, którą dostałam od Gorma. Na okładce widnieje mała bezpłciowa postać ludzka, narysowana tak, jakby to było malowidło naskalne. Kopiuję ją, ale z głową jak eksplodujące słońce – wygląda to dobrze, czarno-niebieski tusz na żółtym bananie. W rzeczywistości tatuuję lepiej niż Asger. Rysuję więc kształty spunka – te same, co na tych małych lukrecjach, które można kupić w sklepie. Przypominają wzory, jakie miałam na moich koszulkach jako dziecko – chyba nazywa się to paisley, ten wzór. Małe kształty były otoczone rzędami kropek, więc dodaję je na bananie, ale jest trochę za mało miejsca.

Zrobiłabym sobie taki tatuaż spunka na kostce. Po pobieżnym przeczytaniu instrukcji zmieniam igłę i owijam kilka zwykłych gumek recepturek wokół maszynki, tak że w górnej części tworzą naciąg na igłę. Gumki kalibrują wibracje igły razem z natężeniem prądu, który jest regulowany przez źródło zasilania – łatwizna.

Przed zabraniem się do roboty golę sobie kostkę i przecieram skórę spirytusem. Nie wiem, czy się nadaje, ale jest to wszystko logiczne.

Rysuję tatuaż na skórze cienkim markerem – będzie to unikat. Na koniec smaruję okolice kostki wazeliną. Według instrukcji oznacza to, że nadmiar koloru łatwo będzie potem zetrzeć papierową serwetką. Bez wazeliny tusz pobrudziłby skórę na dobre i trudno byłoby rozpoznać, gdzie się jest z robotą.

Trochę się boję, że będzie bardzo bolało. Jednak kiedy kładę igłę przy skórze, doznaję lekkiego szoku. B o l i, ale nie jakoś bardzo. Podążam wzdłuż narysowanych linii i ścieram krew i tusz czystą ścierką. Ból jest teraz stały – pieczenie; niemniej jest mi jakoś lżej. Strach przed bólem był większy niż sam ból. Uczucie pieczenia przechodzi w odczucie, które przypomina skurcz, ale ograniczony wyłącznie do tej przestrzeni, którą tatuuję. Ból jest jednostajny i w zasadzie całkiem podniecający. Moje sutki twardnieją.

Po godzinie jest gotowe. Skóra jest lekko nabrzmiała, a ból utrzymuje się na tym samym poziomie, ale niedługo to mija. A spunk staje się całkiem fajny. Nie dziwota, że tylu gangusowskich typów się tatuuje – to w chuj proste.

Nie wiem, jak się dba o świeży tatuaż, dzwonię więc do Ulli, bo ona ma róże na ramieniu. Mówi, że powinnam owinąć go folią spożywczą, żeby nie wdał się żaden brud; powinna tam zostać, dopóki nie pójde się myć pierwszy raz.

Pyta też, czy niedługo się zobaczymy.

Wrywa mi się po prostu, że jasne, chętnie. Potem mówię sobie, że to nie znaczy, że będziemy... No, tak jak sama powiedziała: to była tylko zabawa, mieszka z Nielsem-Rzeźnikiem.

Naciągam nogawkę na tatuaż. Nic nie powiem Asgerowi – na pewno będzie wpieniony. Ostatnio non stop łązi wpieniony.

Odgrodzone drzwi

Asger mówi mi, że Hossein będzie jego kurierem i będzie woził jaranie dla nas od Axela z Christianii. Asger chce, żebym pierwszy raz jechała tam z Hosseinem i przedstawiła go Axelowi. Robię sceptyczną minę, kiedy tego słucham, ale w zasadzie to chcę z nim jechać, choć trochę się go boję, tego Hosseina. Gość jest całkiem intrygujący i czuję, że Asger go szanuje. No i zawsze zajebiście wybrać się do Kopenhagi i iść na sklepy.

Axel jest starym ziomeczkiem z Aalborga. Pamiętam go jeszcze z czasów, kiedy jako piętnastolatka zaczęłam się kręcić po mieście. Był wtedy przejebanym świrem. Zawsze na grzybach. Fajny typ, Michael mu było, opowiedział mi o Axelu. To właśnie Michael pozbawił mnie dziewictwa jednej nocy na Fjordmarken, choć dobrze wtedy wiedziałam, że ma dziewczynę i że ona cierpi na postępującą anoreksję – czegoś takiego nie kumam wcale a wcale. No i Michael był jednym z nielicznych typów w 1000Fryd, których matka nauczyła podstaw higieny; potrafił zarówno myć włosy, jak i używać dezodorantu, był naprawdę spoko, choć trochę nudny.

Michael powiedział, że Axel jest geniuszem w zbieraniu grzybów. Mieli całą grupę zgromadzoną wokół tej aktywności, ale to Axel chodził na łowy. „Większość jest zbyt leniwa i bojaźliwa wobec natury, żeby iść i je przynieść”, tłumaczył Michael. Wówczas nic nie wiedziałam o tych rzeczach. Według Michaela to było b a r d z o s i l n e d o s w i a d c z e n i e brać grzybki. „Wszystko się zmienia”, mówił. Wszystko stawało się bardzo psychodeliczne, bardzo dziwne i bardzo w pytę. „Drzwi poznania”, wyjaśniał. „Masz dom, którym jesteś ty i który jest tylko twój. I kiedy jesteś na tripie, to po prostu otwierasz jedne drzwi po drugich, tam gdzie zazwyczaj nie masz wstępu, i zostawiasz te drzwi otwarte, żeby był przeciąg”.

Zaczęłam myśleć o moim ojcu. Totalny przeciąg. Nie chciałam ich brać. Ale przez jakiś czas spotykałam się z Michaeliem i raz byliśmy w mieszkaniu u Axela, kiedy brali grzyby – każdy po trzydzieści. I to było strasznie dziwne, bo oni tak naprawdę ze sobą nie rozmawiali. Po prostu siedzieli i wysyłali telepatyczne sygnały do siebie nawzajem i przytakiwali ze zrozumieniem, a ja tkwiłam tam z małym pedalskim blantem i myślałam, że to zajebicie ekscytujące.

W pewnym momencie Axel zaczyna mówić, że drzwi żyją i że to źle, że są odgradzone. Patrzę na drzwi wejściowe. To zwykle pojedyncze drzwi, pomalowane na białą.

– O co ci chodzi, że są odgradzone? – pytam.

– Drzewo jest zniewolone. Farba blokuje egzystencję drzwi – odpowiada Axel, patrząc na nie głęboko zatroskany.

– Ma na sobie ubranie – mówi Michael. – Układ krwionośny drzewa porusza się. Słyszysz, jak krzyczy?

– Musimy okazać swoją solidarność – stwierdza Axel i zaczyna zdejmować ubrania. Wszystkie ubrania. Michael robi to samo. Axel staje przy drzwiach, kiedy zrzuca z siebie spodnie, mogę dostrzec jego włosy łonowe i dużego, opadłego siusiaka. – To im pomaga. Słyszysz?

– Tak – potwierdza Michael i obaj obracają się w moją stronę, i patrzą na mnie z czymś w rodzaju smutnego zadziwienia.

Co do chuja, zastanawiam się. Jestem szatańsko ujebana, widzę duży teczynowy stół i też zaczynam myśleć, że on żyje, że jego układ krwionośny porusza się w tańczącym ciągu, zdejmuję więc ciuchy. Axel stoi i pielęgnuje drzwi, głaska je i pociesza, podczas gdy Michael zaczyna usuwać wszystko, co stoi na stole z teczyny, i pozwala swoim dłoniom szeroko jeździć po jego powierzchni. Jestem zupełnie naga, moje sutki sterczą, bo jest trochę zimno w pomieszczeniu, ale nie ma w tym niczego seksualnego – tylko w relacji z drzewem, które trzeba pocieszyć naszymi pieścizotami. Kładę się więc brzuchem na stole i trzymam się go, czuję, że są w nim soki, że soki biegną w jego układzie krwionośnym i pieścizą moje uda, mój brzuch, moje piersi, łaskoczą mój policzek.

Niedługo potem Axel został zabrany na oddział zamknięty Szpitala Południowego. Zawsze jadł grzyby, kiedy był na zbiorach, bo – jak mówił – one mu tak kazały. Wracał do domu wieczorem przez Bispensgade, na stówę z szaleństwem wyłażącym mu z oczu, kiedy zatrzymała go policja. Skonfiskowali mu siedemset grzybów, a kwadrans później zaatakował ich policyjną sukę siekierą.

Trzy dni później przeniesiono go z oddziału zamkniętego Szpitala Południowego i pół roku później pojawił się z hurtownią na Christianii. Nikt nie wie, co robił w międzyczasie, i najwyraźniej wciąż jest poszukiwany.

Muzułmańska kłątwa

– No weź, Maria. Masz tylko zaprowadzić go do Axela, żeby wynieść kostki z Christianii. Spotykacie się na Dworcu Głównym i wracacie pociągiem do domu – mówi Asger.

– Dobra – odpowiadam – daj mi poznać tego Hosseina.

– Przecież, kurwa, dobrze wiesz, kto to jest.

– Tak, ale go nie poznałam. Chcę mieć pewność, że typ jest spoko ziomkiem, zanim pojadę do Kopenhagi z nim i wszystkimi naszymi oszczędnościami.

Asger wzrusza ramionami:

– Dobra, zrobię tak, żeby tu zajrzał.

Kilka dni później przychodzi Hossein. Stoi twardo pośrodku dużego pokoju ze swoimi iskrzącymi czarnymi oczami i pokazuje na stół kawowy przy sofie:

– Co to gówno tam robi? – pyta z obrzydzeniem w głosie i ciężkim irańskim akcentem.

Asger patrzy na niego z niezrozumieniem. Hossein zawłaszczył przestrzeń w takim stopniu, że Asger najwyraźniej ma problem z transportem powietrza do mózgu.

– Jakie... gówno? – zastanawia się.

– Ta gówniana palestyńska chusta – odpowiada Hossein.

Używamy mojej starej arafatki jako obrusu. To właściwie trochę pojebane.

– To przecież twoi bracia – mówi Asger.

– Żadni moi obsrani bracia. Palestyńczycy to pasożyty żerujące na tępych Arabach. Próbuja żałośnie dorównać Izraelowi.

– Izrael nie jest twoim wrogiem? – pytam.

– Nie, w Iranie cieszy nas, że jest państwo, które nazywa się Izrael. Arabowie tracą na nie czas i siły.

Patrzę ze zdziwieniem na Hosseina. Mówi mi, że Izrael i Iran byli dobrymi przyjaciółmi, zanim Chomeini doszedł do władzy.

– A ty nie jesteś Arabem? Albo muzułmaninem? – pytam, bo nie wiem. Myślałam, że wszyscy tam na dole są Arabami i muzułmanami.

Hossein patrzy na mnie z wkurwem i ponuro zaprzecza:

– Nie jestem żadnym obsranym Arabusem, jebanym muzułmaninem. Jestem Persem. Mój kraj Iran, jesteśmy Persami. A Iran otoczony gównianymi sąsiadami. Spadła na nas klątwa. Muzułmanie nas podbili. Ten sam problem mamy od wielu tysięcy lat. – Najwyraźniej Iran został podbity przez Arabów, Turków i Mongołów. – A Arabowie nie siedzieli na dupie, udało im się nawrócić wszystkich możnowładców. Resztę zabili – mówi.

Asger mu przerywa:

– Tak, tak. W porządku, Hossein.

Ale Hossein jest rozgorączkowany – zdaje się, że nadepnęłam mu na odcisk.

– Te Arabusy to dzicy ludzie, nie powinno ich w ogóle być, tylko stoją i przeszkadzają – stwierdza. – Utrzymuje, że to dobrze, że Mahomet rozpropagował islam wśród Arabów, bo byli tak prymitywni, że już sam Mahomet był krokiem naprzód. – Ale od tamtej pory nie ruszyli z miejsca. Arabusy powinni zająć się jebanym pługiem i dać sobie spokój z mieszaniem się w sprawy na świecie.

– Myślałam, że Iran trzyma z Arabami przeciwko Izraelowi – odpieram, bo tak zawsze mówili w wiadomościach telewizyjnych.

Jednocześnie proponuję Hosseinowi kubek kawy. Trochę się uspokaja, kiedy tłumaczy mi, że to też вина Chomeiniego.

– Próbował stworzyć zupełnie inne wrażenie, żeby to Izrael był głupim chujem, a Palestynę uwolnili. Tylko dlatego, że Izrael leży w łóżku z USA, tak jak szach. – Hossein stoi i nalewa śmietanki, i wysypuje cukier do kubka, po czym siada na fotelu i opowiada mi, że zwykli Irańczycy nie żywią sympatii do Palestyńczyków. Mówi, że wielu Irańczyków jest zmęczonych, że ich dzieci zostały zwabione do Libanu, żeby walczyć z Izraelem. – Wielu młodych Irańczyków zabito. Było obiecanie, że mają iść uwolnić Palestynę, zamiast tego zostały mięsem armatnim w Libanie.

W ogóle nie przypomina kogoś, kto jako kurier musi jechać do Christianii, żeby dać sobie w życiu radę. Musi być jakiś inny powód, myślę sobie – ale nie mam pojęcia jaki.

– Dlaczego właściwie uciekłeś z Iranu? – pytam na tyle ostrożnie, na ile potrafię.

Patrzy mi ostro w oczy – cała moja ostrożność została zdmuchnięta przez ten wzrok.

– Jestem żołnierzem. Jest podejrzenie, że zastrzeliłem mojego oficera w czasie walki.

– A zrobiłeś to? – rzucam zupełnie beznamiętnie. Nie boję się jego oczu.

Uśmiecha się. Wow! Co za uzębienie – proporcjonalne, silne i bielutkie linie.

– Oczywiście, że tak. Był głupim chujem – odpowiada Hossein.

– Strzeliłeś do niego od tyłu? – pytam. Lubię go, ale też chcę go trochę wyprowadzić z równowagi.

– Nie, obracam się i strzelam mu w łeb od przodu.

– Co cię tak zezłościło?

– Głupi chuj próbował ukryć się przed wojną, ukryć się za mną.